

Piotr Maciejewski*

CEREMONIAŁ DYPLMATYCZNY NA DWORZE ANGIELSKIM W NEGOCJACJACH Z RZECZĄPOSPOLITĄ W XVII WIEKU

O szczególnej roli, którą w stosunkach międzynarodowych pełnią obyczaje dyplmatyczne, nie trzeba nikogo przekonywać. Pomimo znacznego uproszczenia ceremoniału dyplmatycznego wydaje się, że jego cele na przestrzeni dziejów niewiele się zmieniły. Również w czasach nowożytnych ceremoniał dyplmatyczny odgrywał ogromną rolę. Przestrzegano go bardzo troskliwie, naruszenie zaś (tak jak w wypadku Pawła Działyńskiego w 1597 r.) traktowano jako obrazę monarchy, który wysyłał czy przyjmował poselstwo. Dla krajów zachodnich najbardziej miarodajny był oczywiście ceremoniał francuski i w ogóle zwyczaje dyplmatyczne francuskie, które od czasów panowania króla-Słońce stały się w praktyce wzorem obowiązującym dla całej Europy. Przesłoniły one nie tylko wzory hiszpańskie czy cesarskie, ale nawet jeszcze nie tak dawno obowiązujący wszędzie ceremoniał dworu papieskiego¹.

W niniejszym artykule kluczowym więc dla nas pytaniem będzie to, w jaki sposób przyjmowano posłów Rzeczypospolitej na dworze angielskim i jak postrzegano na nim przybyłych Polaków.

Dla Pawła Działyńskiego drugim etapem misji po wizycie w Hadze było o wiele trudniejsze poselstwo do Elżbiety I. Już w momencie, kiedy legat stanął na terytorium podlegającym brytyjskiej jurysdykcji, automatycznie znalazł się pod opieką rodowitego Anglika, komendanta garnizonu angielskiego we Vlissingen. Przybyłego do zelandzkiego portu dyplmatę od razu przywitano bardzo uroczyście, by nie rzec hucznie: salwami z dział. Jak się okazało, w taki sposób nie po raz pierwszy i ostatni. Zdając sobie sprawę z państwowego charakteru podróży Działyńskiego, komendant podejmował

* Uniwersytet Łódzki.

¹ Z. W ó j c i k, *Ceremoniał dyplmatyczny*, [w:] *Historia dyplomacji polskiej*, t. II, 1572–1795, red. Z. Wójcik, Warszawa 1982, s. 289–290.

go wspianiałymi ucztami przez trzy dni do momentu takiej poprawy pogody, która umożliwiała wypłynięcie w morze. Kiedy tylko pomyślniejszy wiatr zaczął wiać w kierunku Anglii, poseł po załadowaniu prowiantu, w który najprawdopodobniej zaopatrzył się w garnizonie, wsiadł na statek przygotowany dla niego przez Stany Generalne Zjednoczonych Prowincji. Ciekawe, że podróż odbywał pod banderą niderlandzką, a nie angielską. Widocznie wszystko zostało załatwione przed przyjazdem do Vlissingen przy okazji rozmów z Holendrami. Niewykluczone też, że komendant zaproponował posłowi swoją pomoc, a ten z niej zrezygnował. Tym niemniej Anglik dbał o odpowiednią oprawę naszej legacji zarówno przy wsiadaniu na statek, jak i wypływaniu z portu. Jedno i drugie odbywało się przy akompaniamencie strzałów armatnich i asyście liczego wojska, a więc czegoś w rodzaju „kompanii honorowej”. Salwy oddawane na rozkaz komendanta z dział rozmieszczonych na wałach i umocnieniach miały stanowić świadectwo jego serdeczności i życzliwości względem legata. Sam zresztą dowódca garnizonu towarzyszył Polakom aż do wyjścia w morze. Po dopłynięciu do celu i wyjściu na ląd w Greenwich nastąpiło ostateczne pożegnanie z Holendrami, którzy salwą z dział pokładowych „dali niezawodne świadectwo Anglikom”, jak należy okazywać posłowi „przychylność i godność”².

Po otrzymaniu ekspedycji poselskiej z kancelarii koronnej oraz pieniędzy ze skarbu orszaki poselskie wyruszały w drogę. Zazwyczaj poseł wysłał naprzód grupę ludzi, która miała za zadanie załatwić wszelkie sprawy związane z przejazdem orszaku przez tereny polskie i obce, zakwaterowaniem, wyżywieniem dla ludzi, paszy dla koni itp., a także organizację samego uroczystego przeważnie wjazdu posła do stolicy obcego państwa³. Tym razem szef polskiej misji wysłał do Williama Cecila lorda Burghleya jednego człowieka w celu zapewne oficjalnego powiadomienia o swoim przybyciu, załatwienia wstępnych formalności i miejsca pobytu oraz ogólnego przedstawienia przyczyn poselstwa i ustalenia daty audyencji. Na wypełnienie zadania wyznaczono legatowi dzień 4 sierpnia i miejscowość Greenwich nad Tamizą.

Zdaniem autora *Merkuriusza sarmackiego*... przedstawiciele Zygmunta III zostali potraktowani w sposób wyjątkowy. Elżbieta I bowiem postanowiła przyjąć ich publicznie w obecności zaproszonych gości zarówno krajanów,

² *Merkuriusz sarmacki z Niderlandów i Anglii, czyli zwięzła relacja z dwóch poselstw do Niderlandów i Anglii, które z woli Najjaśniejszego i Najpotężniejszego Króla Polski i Szwecji etc. i za zgodą Jego dostojników, senatorów i Sejmu gorliwie i chwalebnie sprawował i uczynił sławnymi oświecony i wspianiał pan Paweł Działyński Roku Pańskiego 1597*, [wyd. i oprac.] R. Marciniak, Wrocław 1978, s. 29.

³ Z. W ó j c i k, *op. cit.*, s. 286; A. P r z y b o ś, R. Ż e l e w s k i, *Rozwój form dyplomatycznych w Polsce*, [w:] *Dyplomaci w dawnych czasach. Relacje staropolskie z XVI–XVII stulecia*, [oprac.] idem, Kraków 1959, s. 45.

jak i cudzoziemców (dyplomatów, ambasadorów). Nie można naszym zdaniem uwierzyć w to, iż królowa nigdy przedtem nie miała w zwyczaju czynić czegoś takiego – jak inaczej wyglądałyby przyjęcia wysokiej rangi dyplomatów z innych państw europejskich? Musimy pamiętać, że Działyński posłował z kraju będącego sojusznikiem znenawidzonej tutaj Hiszpanii. Anglicy przypuszczali, że Filip II za polskim pośrednictwem szuka jakiegoś porozumienia. Elżbieta więc nie tyle chciała „dogodzić swej pysze i wyniosłości”, pokazując „wszystkim narodom [...] osobliwą łaskę, jaką jej Bóg okazuje” w postaci oddawanej przez „wszystkich królów” czci, ile dbała o zademonstrowanie z najlepszej strony siły państwa, które uosabiała⁴. Nie zapominajmy również o tym, że poseł przybył na dwór władcy sprawującego władzę absolutną, a więc królowej, której służono i którą otaczano najbardziej wyszukany ceremoniałem, jaki można było sobie wyobrazić, znacznie prześcigającym w tym czasie ceremoniał wszystkich innych dworów europejskich⁵.

Przejdźmy teraz do samej audiencji na elżbietańskim dworze. Pierwszym elementem było doprowadzenie posła w wyznaczonym terminie do pałacu w Greenwich przez dwóch szlachetnie urodzonych Anglików⁶. Działyński ubrany był przy tym w strój ojczysty, co zapewne budziło nie małą ciekawość, w Niderlandach bowiem drogę na posiedzenie Stanów Generalnych zastępowały naszemu orszakowi tłumy ludzi⁷. Gdy w XVII w. – wyjąwszy Hiszpanów – ambasadorowie wszystkich krajów ubierali się w strój francuski lub do niego zbliżony, to Polacy, zgodnie ze wschodnim obyczajem, przeważnie występowali w swoim narodowym stroju, który, jak wiemy, z natury swej pełen był imponującego dostojęństwa. Egzotyka naszego stroju istotnie robiła na cudzoziemcach wrażenie i – jak tego mamy przykład z poselstwa Krzysztofa Gosiewskiego do Francji w 1640 r. – widok Sarmatów we francuskich strojach stanowił dla nich poważne rozczarowanie⁸. Na powstanie polskiego stroju narodowego mieli poważny wpływ nasi wschodni i południowi sąsiedzi, stąd brała się jego oryginalność, przepych i pompa zadziwiająca dwory zachodnie⁹.

Zanim stanęło się przed obliczem angielskiego monarchy należało przejść majestatycznym krokiem pałacowymi komnatami przez szpaler ustawionych z jednej strony znamienitych „mężów”, a z drugiej „wspaniale ubranych

⁴ *Merkuriusz sarmacki...*, s. 34.

⁵ M. St. Clare Byrne, *Życie codzienne w Anglii elżbietańskiej*, Warszawa 1971, s. 29.

⁶ *Merkuriusz sarmacki...*, s. 34.

⁷ *Ibidem*, s. 22.

⁸ A. Przyboś, R. Żelewski, *op. cit.*, s. 45.

⁹ J. Topolski, *Ubiory. Wykształcenie się stroju narodowego („polskiego”), [w:] idem, Polska w czasach nowożytnych. Od środkowoeuropejskiej potęgi do utraty niepodległości (1501–1795)*, Poznań 1994, s. 265–270.

białogłów”. Wchodzącego do pałacu posła witały melodie grane na cytrach i innych instrumentach. Królowa skinieniem ręki nakazywała ciszę. Następowало pozdrowienie głowy państwa według polskiego zwyczaju i oddanie jej listów uwierzytelniających, co możemy uznać za zakończenie powitania¹⁰. Rola listów uwierzytelniających, obok instrukcji oraz ewentualnie specjalnych pełnomocnictw lub korespondencji kierowanej do obcego monarchy, była bardzo duża. Listy te musiały bardzo dokładnie precyzować charakter poselski i rangę wysłańca, gdyż na tej podstawie dopiero zyskiwał on nie tylko ogólne przywileje, służące posłowi, lecz również i te, które były właściwe jego randze. Brak precyzji w naszej dyplomatycznej nomenklaturze, mimo prostego podziału na zasadniczo dwie rangi (posłowie więksi i mniejsi), bywał czasem przyczyną przykrych nieporozumień¹¹.

Po przeczytaniu przez królową listów uwierzytelniających następował kolejny i właściwie najważniejszy etap – głośnie odczytanie mowy poselskiej. Dochodziło do tego po daniu przez monarchę wyraźnego sygnału, zezwalającego na zabranie głosu. W tym wypadku Elżbieta I użyła włoskiego słowa „*parlate*”.

W przemówieniu poselskim daje się wyróżnić pewne części składowe. We wstępie wymieniano tytuły przynależne władcy Anglii oraz określenia grzecznościowe typu: „Najjaśniejsza Królowo”, „Najłaskawsza Pani”, „Wasza Wysokość”. Zaraz potem przekazywano życzenia pomyślności we wszystkich sprawach, szczęścia, sukcesów w przyszłości i wyrazy braterskiego przywiązania i szacunku. Również rozwinięcie mowy przynosiło wiele kurtuazji w postaci zapewnień o trosce Zygmunta III utrzymania i zachowania przy każdej sposobności przyjaźni i wzajemnej życzliwości. Trzon mowy to wyłuszczenie powodów i celów misji oraz przedstawienie prośb i żądań, w wypadku Działyńskiego połączonych z groźbami pod adresem Anglików¹². Zdaniem niektórych historyków niniejsze przemówienie należy uznać za wyłamanie się z przyjętych w danym miejscu form dyplomatycznych podyktowane arogancją czy też pychą samego posła¹³. Nie możemy się z tym zgodzić, gdyż obligatoryjną wskazówkę dla każdego posła co do celu misji i sposobów jego osiągnięcia stanowiły przecież tak zwane instrukcje układane przez kanclerza i będące przedmiotem obrad sejmu i senatu, mało tego – podpisane przez króla¹⁴. Zarzut powinien być więc skierowany pod adresem podkanclerza Jana Roli Tarnowskiego. W diariuszach z poselstw do Anglii zachował się co prawda jeden ślad świadczący o tym, że legaci nie byli do końca skrupowani litanią pytań i odpowiedzi zawartych w instrukcjach: Jan

¹⁰ *Merkuriusz sarmacki...*, s. 34.

¹¹ A. P r z y b o ś, R. Ż e l e w s k i, *op. cit.*, s. 39.

¹² *Merkuriusz sarmacki...*, s. 35–36.

¹³ A. P r z y b o ś, R. Ż e l e w s k i, *op. cit.*, s. 46.

¹⁴ *Ibidem*, s. 40–41.

Zawadzki mógł w 1633 r. „postompić [...] podług wypadków i okoliczności”, ale... „zawsze iednak dostojenstwo Nayiaśniejszego Pana mając nabaczeniu”¹⁵. Słowo „arogancja” wolimy akurat tutaj zastąpić określeniem: „specyficzny jak na owe czasy język dyplomatyczny”. W części ostatniej przemówienia domagano się jasnej odpowiedzi bez względu na to, co zostanie na dworze postanowione¹⁶.

I w tym momencie trudno nam dalej pisać o ceremoniale na podstawie informacji z naszego *Merkuriusza sarmackiego*..., ponieważ ta mowa poselska doprowadziła do poważnego zakłócenia w jego funkcjonowaniu. Jeszcze w trakcie wygłaszanych przez Działyńskiego ostrych słów niewiele brakowało, a królowa przerwałaby audiencję. Nie mogła zdzierżyć, że „w przytomności tak wielkiej liczby ludzi wypowiedziano wobec niej tak gorzką prawdę”. Nie udało się jej ukryć gniewu, który okazała „twarzą, rękoma i roziskrzonymi oczyma”. Ze złością padła na tron i z trudem wysłuchiwała mowy do końca, po czym wybiegła do drugiej komnaty. Polska audiencja wywołała skandal, a atmosfera oburzenia przeniosła się na ulicę. Poddani obrażonej królowej nie mogli powstrzymać się od różnego rodzaju zniewag, lud wrzał, żądając kary za obrazę majestatu. Kupcy hanzeatyccy z tzw. dworca (*Stalhofu*) ostrzegali posła przed trucizną, właściciel gospody, w której przebywała nasza delegacja, nagle „stracił zaufanie” i odmówił jej stancji, a żaden z Anglików nie odważył się już zaprosić posła aż do wyjazdu. Miejsce dyplomatycznego *savoir-vivre’u* zajęły chłodne, sformalizowane kontakty.

Za wydarzenie bez precedensu w historii polsko-angielskich pertraktacji musimy uznać skłonienie Działyńskiego, pod silną presją komisarzy Elżbiety I, do okazania oryginalnej instrukcji¹⁷. Instrukcje dzieliły się zazwyczaj na dwie części: w pierwszej – oficjalnej – podawano cel poselstwa, zamieszczano jeśli nie całe oficjalne przemówienie, to przynajmniej jego dokładną treść, w drugiej, określanej jako tajną, podawano punkty, które poseł winien był omówić na prywatnej audiencji uzyskanej u władcy czy też u jego ministrów¹⁸. Instrukcja była więc do wglądu tylko dla naszego posła, na jego prywatny użytek, całe zdarzenie mające miejsce w domu lorda skarbnika gwałciło panujące w stosunkach międzynarodowych zasady. Nie usprawiedliwia tego nawet dosyć bałamutna obawa doradców o to, by nic z owej sprawy nie sprowadziło na nich niebezpieczeństwa. Dopiero po dokładnym obejrzeniu

¹⁵ *Zbiór pamiętników historycznych o dawnej Polsce z rękopisów, tudzież dzieł w różnych językach o Polsce wydanych oraz z listami oryginalnemi królów i znakomitych ludzi w kraju naszym*, t. III, [wyd.] J. U. Niemcewicz, Warszawa 1822, s. 136.

¹⁶ *Merkuriusz sarmacki*..., s. 36.

¹⁷ *Ibidem*, s. 38.

¹⁸ W. C z a p l i ń s k i, *Dyplomacja polska 1605–1648*, [w:] *Polska służba dyplomatyczna XVI-XVIII wieku*, red. Z. Wójcik, Warszawa 1966, s. 236–237.

i stwierdzeniu autentyczności pieczęci i podpisu i tego, że mowa nawet o jotę nie została zmieniona, komisarze pochwalili legata za sumiennosc i bezstronność i dali mu obietnicę wszelkiej gościnności i łaskawości. Zapewnienia te okazały się niewiele warte. Następna wizyta, tym razem w domu lorda admirała, także nie była wolna od nacisków. Tym razem żądano jasnego i otwartego wyjaśnienia, czy przypadkiem Zygmunt III nie wysłał tego poselstwa do królowej ze względu na jej nieprzyjazne stosunki z władcą Hiszpanii. Odpowiedź, jaką wreszcie poseł uzyskał, sporządzono chyba zgodnie z normalnym trybem postępowania. Przygotowali ją bowiem i udzielili, na polecenie i w imieniu „Najjaśniejszej Pani Elżbiety, z łaski Boga Królowej Anglii, Francji, Irlandii, Obrończyni Wiary Chrześcijańskiej etc.” w formie ustnej i pisemnej, komisarze-doradcy królewscy, podpisani pod dokumentem: William Cecil lord Burghley, Charles Howard, Robert Cecil i John Fortescue. Odpowiedź miała również swoje części składowe. Na pierwszym miejscu znajdowała się odpowiedź samej królowej publicznie udzielona na wygłoszoną mowę króla Polski i Szwecji, po niej odpowiedź doradców królowej Anglii udzielona przez lorda skarbnika oraz list Elżbiety do Zygmunta III¹⁹.

W wypadku poselstwa Pawła Działyńskiego nie było mowy o jakichkolwiek dalszych negocjacjach dyplomatycznych, które zwyczajnie mogły i powinny mieć miejsce, a co za tym idzie o towarzyszącym im ceremoniale. Kres wzajemnym kontaktom położyła szorstka rozmowa końcowa Krzysztofa Parkinsa z polskim posłem w imieniu Elżbiety I. O dziwo wymienione przez Anglika „przyczyny niechęci królowej” dotyczyły... właśnie dworsko-dyplomatycznego ceremoniału! Po pierwsze – poseł przywiózł inne poselstwo, niż królowa sobie wyobrażała i oczekiwała; po drugie – odmówił królowej tytułu „Obrończyni Wiary” według dawnego i powszechnie przyjętego zwyczaju, zgodnie z wolą papieża (?), chociaż rzekomo królowa nie przywiązywała żadnej wagi do tego rodzaju błahostek; po trzecie – wygłosił ostrą mowę w obecności ludu, a rozważniej było odłożyć ją do pertraktacji po audyencji; po czwarte – okazywał cześć królowi Hiszpanii, wrogowi Anglii i po piąte – Parkins goszczący niegdyś w Polsce jako poseł nie został serdecznie przyjęty.

Sprawa normalnej w takich wypadkach audyencji pożegnalnej straciła rację bytu, Elżbieta bowiem w ogóle nie życzyła sobie, aby Działyński ją żegnał, ponieważ nawet w Zjednoczonych Prowincjach było już głośno o jego wystąpieniu przeciwko godności i majestatowi królowej. Tym też tłumaczono jej tak stanowcze postępowanie.

Paszport miał być wystawiony po przekazaniu doradcom wszystkich pism legacji. Bez dokładnego zresztą spisu rzeczy poseł nie mógł się oddalić,

¹⁹ *Merkuriusz sarmacki...*, s. 39–47.

aby później kupcy pod jego imieniem nie przemycali do Anglii swoich towarów.

Zupełnie bezceremonialna była wreszcie „przyjacielska” rada Parkinsa, aby czym prędzej opuścić terytorium Anglii „z powodu tumultu” wzburzonego ludu. Działyński miał się przy tym strzec, żeby przypadkiem nie znalaziono jakiegoś pretekstu, pod którym można by go oskarżyć. Zaiste trudno o lepsze słowa zachęty do wyjazdu²⁰! Trudno przewidzieć, jak realne podstawy miały te groźby, zwłaszcza że zaopatrzone w listy uwierzytelniające poseł zyskiwał prawem narodów zagwarantowaną nietykalność²¹. Trzeba jednak stwierdzić, że na wyjątki od tej zasady trzeba było być przygotowanym, zwłaszcza w stosunkach z niektórymi sąsiadami Polski, np. z Turcją²². W każdym razie Działyński wołał nie kusić losu i jako *persona non grata* szybko opuścić Anglię. Wątpliwą w takiej sytuacji osłoda było bicie w bębny, granie w trąby i salwy z dział jako „przyjacielskie i serdeczne pozdrowienie” ze strony mijającego Polaków na morzu posła Danii. Nie było też zwyczajowej wymiany podarków z królową angielską, choć Parkins zapewniał, że w innych okolicznościach Elżbieta okazałaby posłowi najwyższą wyrozumiałość i obdarzyła najwspanialszymi podarkami i przyjęła tak serdecznie jak wszystkich reprezentantów władców europejskich. Teraz jednak z konieczności i dla przykładu musiała powstrzymać siebie i swoich ludzi²³.

Z dworem angielskim w czasach Jakuba I Stuarta zetknęli się podróżujący po Anglii nieoficjalnie w 1609 r. Jakub Sobieski, wojewódzic bełski, oraz marszałek Zygmunt Myszkowski. W trakcie ich pobytu nie doszło oczywiście do żadnych pertraktacji dyplomatycznych, Polacy nie mieli bowiem odpowiednich pełnomocnictw. Dysponujemy jednak niezmiernie ciekawym sprawozdaniem z gościny i „bankietu” u królowy Elżbiety Stuart, córki Jakuba I, późniejszej żony palatyna reńskiego Fryderyka V, z którą oba dwory, polski i angielski, wiązały plany matrymonialne. Za kulisami stała bezsprzecznie polityka, mariaże były przecież od wieków jednym z najskuteczniejszych sposobów zawierania sojuszy.

Pierwszą rzeczą na dworze angielskim, która wręcz śmieszyła naszych podróżników, to zupełne jego rozbitcie. Wszyscy: król, królowa oraz ich córka mieszkali oddzielnie w swoich podlondyńskich zameczkach. Jak wspomina Sobieski, osobno trzeba było witać się z każdym członkiem rodziny panującej.

Spotkanie z królowną, mimo tego że zostało zaaranżowane przez monarchę, przebiegało w bardzo sympatycznej atmosferze. Strona angielska

²⁰ *Ibidem*, s. 47–48.

²¹ A. P r z y b o ś, R. Ż e l e w s k i, *op. cit.*, s. 42.

²² Z. W ó j c i k, *op. cit.*, s. 290–291.

²³ *Merkuriusz sarmacki...*, s. 48.

starala się przy tym pokazać kandydatkę na żonę Władysława z jak najlepszej strony. Wieści docierające do Polski mogły bowiem stać się przysłowiowym języczkiem u wagi.

Elżbieta przyjęła Polaków otoczona galerią zgromadzonych wokół siebie najpiękniejszych pań i panien królestwa. Nad jej łóżkiem wisiał portret królewicza Władysława, planowanego oblubieńca. Ochmistrz Stuartówny stary i poważny człowiek, sir Edward Cecil zwrócił się najpierw z pytaniem do marszałka Myszkowskiego, w jakim języku życzy sobie prowadzić rozmowę z królową, gdyż ta zna włoski, francuski i łacinę. Na nasze życzenie rozmawiano po włosku. Królowa radziła sobie znakomicie, odpowiadając dosyć głośno, z „pańską” prezencją i „animuszem”. Po chwili do konwersacji przyłączyli się ochmistrz, wspominający jakby mimochodem o synu Zygmunta III, a także autor omawianego diariusza. Ton z początku poważny szybko stał się żartobliwy. Doszło nawet do tego, że ochmistrzowi królowy, prawdopodobnie Eleanor Cave, niemłoda, poważna i spokojna kobieta, dla udowodnienia niemałego wzrostu swej podopiecznej uchyliła „rąbka tajemnicy” podnosząc Elżbiecie szatę aż do pół kolana. Panna nie dodawała sobie centymetrów trzewikami, ale nie o to w gruncie rzeczy chodziło. Doświadczona opiekunka wiedziała doskonale, co po takiej „prezentacji” najlepiej utkwie w pamięci obu panów i, co daj Boże, zostanie doniesione na polski dwór. Oczom naszych wojażerów ukazały się wcale zgrabne łydki królowy przyozdobione niziusińkami białymi trzewikami, tkanymi złotem błękitnymi pończoszkami i podwiązkami²⁴. W 10 lat później wybitny esteta, znawca sztuki i kobiet, posiadający doświadczenie z wielu misji do różnych dworów europejskich, Thomas Roe, uważał ją za najpiękniejszą kobietę Europy. Okazała się jednak siedemnastowieczną „Heleną Trojańską”, przez której małżeństwo z pfalzgrafem Renu Jakub I „utracił (rodzinę) w Czechach”²⁵.

Po rozmowie w pięcioosobowym gronie nastąpiło powitanie wszystkich dam przez podróżników z Polski, ale w zwyczaju angielskim, czyli „z pocałowaniem”. Wszystko wieńczyła wspaniała kolacja, na którą zaprosił Polaków w imieniu królowy ochmistrz. Goście zasiedli w drugiej sali za wielkim zastawionym stołem i w towarzystwie jeszcze innych pięknych Angielek. To one podawały „konfekty i cukry” i „białą małmazyję” – słodkie aromatyzowane wino. Po przeszło godzinnym jedzeniu i rozmowach Sobieski wraz ze swoim kompanem wrócili znowu do królowy, która nie uczestniczyła w kolacji i pożegnali się. Do karety odprowadził ich nieza-

²⁴ J. S o b i e s k i, *Peregrynacja po Europie (1607–1613). Droga do Baden (1638)*, [oprac.] J. Długosz, wyd. 2, Wrocław 1991, s. 58.

²⁵ E. A. M i e r z w a, *Anglia a Polska w pierwszej połowie XVII w.*, Warszawa 1986, s. 35 i 45.

stąpiony ochmistrz, przy czym niektórym Polakom z czeladzi trzeba było przy wyjściu szczególnie pomagać z powodu... nadużycia alkoholu.

Na tym praktycznie nasi bohaterowie zakończyli swoją przygodę i po powrocie z pałacyku Elżbiety do Londynu opuścili Anglię²⁶. Relacja ta ma charakter anegdotyczny, ale zarazem łudząco przypomina słynne swaty, zakończone hucznym weselem, mianowicie zabiegi o rękę Marii Ludwiki Gonzagi²⁷.

Jerzy Ossoliński wypełniający swoją misję w Anglii w 1621 r., spotkał się z bardzo serdecznym przyjęciem ze strony Jakuba I Stuarta. Król angielski od początku dbał o stworzenie jak najlepszej atmosfery dla swojego gościa, a ponadto z widoczną życzliwością podejmował go nie tylko na publicznej audiencji, ale i często na spotkaniach w niewielkim gronie, prowadząc rozmowy, w cztery oczy.

Jak się Ossoliński dowiedział, od tygodnia czekały na niego karety królewskie w Dover. Skoro tylko przyłynął do Gravesend, natychmiast dano o tym znać do Londynu²⁸. Wielkie poselstwa odbywały zawsze uroczyste wjazdy do obcych stolic, przy czym zarówno nasi dyplomaci, jak i gospodarze robili wszystko, by wjazd taki wypadł najwspanialej²⁹. Dlatego od razu król wyprawił po Ossolińskiego *magistra cerimoniarum* – mistrza ceremonii, z wielkim orszakiem dworskim³⁰. Zgodnie ze zwyczajami francuskimi uroczyste poselstwa od obcych monarchów witane były przez książąt krwi³¹. Tym razem pojawił się powinowaty królewski Robert Stuart. Obaj Anglicy w imieniu Jakuba złożyli ukontentowanie z przyjazdu posła i zaprosili go do stolicy. Wraz z nim odbyli podróż w górę Tamizy na barkach królewskich, kosztownie złożonych i zdobionych haftowanymi kobiercami. Na samym brzegu w Londynie oczekiwał gościa wysłany przez króla hrabia Robert Rich Warwick z kilkoma znakomitymi baronami i w obecności innych licznych dworzan. Warwick po odprawieniu „zwykłej” w imieniu swego pana „gratulacji” bardzo kosztowną królewską karocą odwiózł Ossolińskiego aż do gospody. Inni członkowie poselstwa poczynszy „od pana wojewodzica aż do ostatniego sługi” jechali z angielskimi dworzanami kilkudziesięcioma innymi karetami³².

²⁶ J. S o b i e s k i, *op. cit.*, s. 58–59.

²⁷ W. W i ę c k o w s k a - M i t z n e r, *Swaty*, [w:] eadem, *Miłość i polityka*, Warszawa 1961, s. 155–165; Z. L i b i s z o w s k a, *Swaty*, [w:] eadem, *Żona dwóch Wazów*, Warszawa 1963, s. 5–13.

²⁸ J. O s s o l i ń s k i, *Pamiętnik*, [oprac.] W. Czapliński, wyd. 2, Warszawa 1976, s. 115–116.

²⁹ Z. W ó j c i k, *op. cit.*, s. 287.

³⁰ J. O s s o l i ń s k i, *op. cit.*, s. 116.

³¹ Z. W ó j c i k, *op. cit.*, s. 288.

³² J. O s s o l i ń s k i, *op. cit.*, s. 116.

W skład świty legata wchodziło z reguły niewielu ludzi, których określilibyśmy jako pracowników merytorycznych, tj. związanych bezpośrednio z funkcjami dyplomatycznymi. Reszta członków orszaku to, obok asysty wojskowej, trębaczy i hajduków, różnego rodzaju słudzy i rzemieślnicy, niezbędni w czasie wielomiesięcznego nierzadko pobytu za granicą, tacy jak kucharze, krawcy, cyrulicy czy aptekarze. W większych orszakach poselskich byli także księża kapelani³³. Wspomniana gospoda została wybrana przez samego Jakuba I i urządzona jego meblami, obiciami, łóżami. Wszystko sumptem i z dostatkiem, który poseł ocenił jako „wielki i zgoła godny takiego monarchy”. Ledwo nasz poseł zsiadł z wozu, gdy obstąpili go sekretarze wysłani przez cudzoziemskich „chrześcijańskich” ambasadorów, spiesząc ze zwykłymi w takich chwilach komplementami³⁴.

Tegoż wieczora władca Anglii dał znać Ossolińskiemu przez mistrza ceremonii, że specjalnie dla niego zrezygnował z uciech na polowaniu i przyjechał do miasta, by jak najprędzej się z nim zobaczyć. Zaproponował przy tym na termin publicznej audiencji dzień następny, czyli 28 marca. Ze swojej strony Polak uniżenie podziękował za tak wyświadczoną łaskę i wyraził zadowolenie z możliwości rychłego „pocałowania ręki j. k. mci”³⁵. Tak naprawdę jest to jedyna bezpośrednia informacja źródłowa, mówiąca o tym, iż ręka monarchy przy powitaniu i zapewne pożegnaniu musiała być całowana przez posłów. Było to bowiem tak oczywiste dla pamiętnikarzy, że po prostu o tym nie pisali. Zwyczaj całowania ręki monarszej należał do zakresu ceremoniału dyplomatycznego związanego z uroczystą audiencją publiczną, zwaną inaczej kredencjalną³⁶.

Zgodnie z umową w wyznaczony dzień w poobiedniej porze przyjechał po Ossolińskiego Robert Devereux, earl of Essex, z wielką gwardią znakomitych baronów i dworzan, z wieścią, że król wzywa go do siebie i z radością oczekuje. Dalej wysłannik królewski poprowadził posła przez cały Londyn, między gminami ludu i wojska reprezentacyjnego, w długim złożonym z karoc szeregu, do pałacu królewskiego w Westminsterze³⁷. Nie był to najśłynniejszy wjazd Jerzego Ossolińskiego do stolicy obcego państwa. Jego wjazd do Rzymu przypominał widowisko teatralne, uwiecznione nawet przez rysowników. Istotnie też malowniczość, strojność i orientalny niemal przepych orszaku wywarł wrażenie na współczesnych³⁸.

W pałacu legat mógł trochę odetchnąć przed audiencją w specjalnie przygotowanym pokoju, po czym z „komitywą” udał się do wielkiej sali,

³³ Z. Wójcik, *op. cit.*, s. 286.

³⁴ J. Ossoliński, *op. cit.*, s. 116.

³⁵ *Ibidem*, s. 117.

³⁶ Z. Wójcik, *op. cit.*, s. 297.

³⁷ J. Ossoliński, *op. cit.*, s. 117.

³⁸ W. Czaplinski, *op. cit.*, s. 238.

w której czekał na niego już sam Jakub I. Przed salą przyjął go jeszcze kapitan gwardii, brat hrabiego Warwicka, a u samych drzwi wielki szambelan William Herbert. On też doprowadził posła przed oblicze króla i licznie zgromadzonych dworzan i gości³⁹. Trzeba powiedzieć, że wszędzie zresztą na Zachodzie ów system powitań był dość mocno rozwinięty. Między wejściem do pałacu a salą audiencyjną wielki poseł witany był przez wielu dostojników i dworzan, rozmieszczonych na całej drodze według stopnia, jaki zajmowali w hierarchii dworskiej⁴⁰. Legat nasz z trudem przeciskał się w stronę głowy państwa. Król ujrzawszy go z daleka, wstał z tronu i zdjął nakrycie głowy. W momencie przybliżenia się posła stanął aż na brzegu podniesionych stopni majestatu i podał mu rękę. Ossoliński wstąpiwszy na ten sam stopień, przy oddawaniu listów od Zygmunta III, przywitał się z Jakubem słowami przygotowanymi w mowie poselskiej⁴¹. Po wręczeniu listów kredencjalnych posłowie wygłaszali mowy powitalne, przy czym dyplomaci Rzeczypospolitej słynęli raczej z upodobań do kwiecistych i ozdobnych mów, chociaż wszyscy dostosowywali się do coraz powszechniej panującego zwyczaju, że mowa powitalna musi być bardzo zwięzła i nie odbiegać od pewnego schematu, *nota bene* bezpiecznego, a więc przede wszystkim uprzejmego pod adresem witanego monarchy⁴².

W mowie Ossolińskiego wystąpiły podobne elementy jak u Działyńskiego: wstęp – powitanie, rozwinięcie i zakończenie. Przemówienie to będące w sumie świetną oracją, miało pewną cechę charakterystyczną, mianowicie ogólnikowość. Jak pamiętamy, jednym z zarzutów stawianych Działyńskiemu przez obrażonych Anglików było to, iż wygłosił ostrą mowę w obecności dworu i gości, a należało z rozważą odłożyć to do pertraktacji po oficjalnej audiencji⁴³. Z całą pewnością w takim właśnie duchu, odmiennym od poselstwa w 1597 r., postępował teraz Ossoliński. Dzięki temu nie nadwerężano cierpliwości nie tylko monarchy, ale i zebranych słuchaczy. Według nas odłożenie szczegółów do prywatnej audiencji w niewielkim gronie leżało w dobrym tonie i tak zresztą praktykowano. Również w tym wypadku powitanie wyraźnie oddzielono od właściwej mowy poselskiej i zintegrowano z wręceniem listów uwierzytelniających. Zawierało życzenia od polskiego monarchy: pełnego i trwałego zdrowia, pomyślnego spełnienia wszystkich pragnień oraz szczęśliwego panowania nad rozległymi obszarami państwa brytyjskiego. Prosząc o przeczytanie listów uwierzytelniających, poseł zapewniał, że są dobitnym podkreśleniem specjalnej i braterskiej życzliwości

³⁹ J. Ossoliński, *op. cit.*, s. 117.

⁴⁰ Z. Wójcik, *op. cit.*, s. 297.

⁴¹ J. Ossoliński, *op. cit.*, s. 117.

⁴² Z. Wójcik, *op. cit.*, s. 297.

⁴³ *Merkuriusz sarmacki...*, s. 48.

Zygmunta III wobec Jakuba i jego spraw⁴⁴. Nawiasem mówiąc, obaj władcy używali w korespondencji określenia: „bracie i krewniaku najdroższy”, co może dowodzić przyjaźni, jaka ich łączyła⁴⁵. Sam Ossoliński zaś uniżenie prosił o użyczenie mu posłuchania po zapoznaniu się z listami⁴⁶.

Problemem odgrywającym istotną rolę nie tylko na dworze angielskim była sprawa nakrycia głowy. Zasadniczo przyjmuje się, że władcy zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie przyjmowali posłów z nakrytą głową⁴⁷. Jak było natomiast na dworze Anglii? Zanim Jakub I zaczął czytać wspomniane pisma uwierzytelniające, poprosił Ossolińskiego, aby równo z nim nakrył głowę zgodnie z obowiązującym zwyczajem. On jednak na moment obrócił się w stronę królewicza Karola i przywitawszy się z nim dał mu do zrozumienia, że musi się z nim spotkać „w jego mieszkaniu” w celu „odniesienia przyjaźni królewica jmci Władysława⁴⁸. Odwiedziny te doszły do skutku po tajnej audiencji, ale w pamiętniku niestety milczy się na ich temat⁴⁹. Swoje zachowanie Ossoliński tłumaczył koniecznością „zatrzymania prerogatywy poselskiej”. Z chwilą gdy Jakub I doczytał otrzymany list, znowu zdjął czapkę i legat wiedział wtedy, że należy przejść do wyjawienia treści poselstwa⁵⁰.

Jak widać, w gąszczu etykietalnych przepisów każdy krok, niemal każdy gest mógł mieć swoje znaczenie, dlatego niektórzy nasi dyplomaci zostawiali dokładne wskazówki dla swych następców⁵¹. Po wysłuchaniu całej mowy na stojąco i bez nakrycia głowy, zasięgając rady Thomasa Howarda, earla of Arundel, który pomagał uprzednio królowi w czytaniu listu, Jakub I udzielił Ossolińskiemu pierwszej odpowiedzi, głośno i podobnie jak wygłoszona mowa po łacinie⁵². W stosunkach z państwami zachodnimi preferowano łacinę, jako język ludzi wykształconych, choć w negocjacjach godzono się generalnie na język znany stronie przeciwnej. Obok łaciny, którą swobodnie władali wszyscy nasi posłowie, wielu z nich znało jeszcze – i to doskonale – włoski, niemiecki i francuski⁵³. Chwilę potem, już ciszej, król angielski pytał posła o zdrowie króla, którego „Pan Bóg uchował od zdrajce” i przeprosił za to, że w związku z tym nie zdążył wysłać swego posła przed

⁴⁴ J. Ossoliński, *op. cit.*, s. 117 i 158.

⁴⁵ *Ibidem*, s. 152–154.

⁴⁶ *Ibidem*, s. 158.

⁴⁷ Z. Wójcik, *op. cit.*, s. 297.

⁴⁸ J. Ossoliński, *op. cit.*, s. 118.

⁴⁹ *Ibidem*, s. 126.

⁵⁰ *Ibidem*, s. 118.

⁵¹ A. Przyboś, R. Żelewski, *op. cit.*, s. 47.

⁵² J. Ossoliński, *op. cit.*, s. 120.

⁵³ H. Wisner, *Służba dyplomatyczna Rzeczypospolitej*, [w:] *Historia dyplomacji...*, t. II, s. 149; A. Przyboś, R. Żelewski, *op. cit.*, s. 44.

przyjazdem Ossolińskiego⁵⁴. Król Anglii miał tutaj na myśli niedawny zamach Michała Piekarskiego na Zygmunta III⁵⁵. Audyencję zakończyło przedstawienie królowi pozostałych członków legacji.

„Ufatygowany tak wielkimi i długimi ceremoniami” Ossoliński po odpoczynku w gospodzie odwiedził jeszcze w tym samym dniu posła hiszpańskiego, który wczoraj złożył mu bardzo uprzejmą wizytę⁵⁶. Podobnie było z innymi posłami cudzoziemskimi, którzy zaraz po audyencji publicznej odwiedzali posła. Musiał on im później „oddawać powinne wizyty”. Niechcąc jednak popełnić *faux-pas* wobec cesarza i monarchy angielskiego przezornie ominął posła pfalzgrafa, barona de Donau, odmawiając mu tytułu „posła królewskiego”⁵⁷. Każdy poseł polski przyjmował wizyty innych dyplomatów, co miało miejsce zawsze bezpośrednio po jego przybyciu, jako gest kurtuazji z ich strony, oraz czasami i później, jako sposób realizacji zadań dyplomatycznych⁵⁸.

W protokole dyplomatycznym na polskim dworze królewskim rozróżniano dwa rodzaje audyencji: uroczystą i prywatną⁵⁹. Podobnie było w Anglii. W trakcie audyencji prywatnych u Jakuba I nie występował już sztywny, długi i męczący rytuał, aliści zachowano pewne reguły. Tak np. w trakcie drugiej prywatnej audyencji król przyjął Ossolińskiego w swojej prywatnej komnacie i „kazawszy wszystkim ustąpić” posadził go obok siebie, po lewej ręce. Naszym zdaniem w ten sposób starał się okazać szczególne, przyjazne względy, jakimi darzył Zygmunta III. Zajęcie się szczegółami politycznymi monarcha zlecił swoim najbliższemu doradcom. Księżę Buckingham uprzedził wizytę Polaka, pojawiając się bez zapowiedzi nazajutrz po powyższej audyencji. Okazywał przy tym „wielką ludzkość” i gotowość służenia królowi polskiemu. Bez omieszkania dyplomata nasz złożył wizytę Buckinghamowi w jego apartamencie w pałacu królewskim. Nie było to spotkanie w cztery oczy – Polak został przedstawiony znamienitszym radcom stanu: Louisowi Stewardowi i Jamesowi Hayowi⁶⁰.

Trzeba w tym miejscu podkreślić, że nigdy, nawet jeśli obie strony łączyły przyjazne stosunki, nie dochodziło do rozmów bez asysty osób trzecich. Dotyczyło to zarówno władcy angielskiego, jak i jego doradców.

⁵⁴ J. Ossoliński, *op. cit.*, s. 121.

⁵⁵ O 9 rano 15 XI 1620 r. Zygmunt III wchodził do kościoła Św. Jana. Został zaatakowany przez nieszczęsnego szaleńca Michała Piekarskiego i raniony czekaniem, ale nieszkodliwie. Pochwyconego zamachowca po torturach skazano na śmierć i stracono. H. Wisner, *Zygmunt III Waza*, Wrocław 1991, s. 168.

⁵⁶ J. Ossoliński, *op. cit.*, s. 121.

⁵⁷ *Ibidem*, s. 124–125.

⁵⁸ A. Przyboś, R. Żelewski, *op. cit.*, s. 47.

⁵⁹ *Ibidem*, s. 51.

⁶⁰ J. Ossoliński, *op. cit.*, s. 125.

Tak też było w trakcie trzeciej audyencji, wydanej w wielkiej galerii pałacu westminsterskiego. Wszyscy obecni panowie włącznie z Buckinghamem stali w jednym końcu galerii, podczas gdy w drugim zasiedli król z Ossolińskim. W trakcie tego spotkania doszło do niewielkiego zgrzytu na tle pewnego tradycyjnego już obyczaju. Zwyczaj ten, wywodzący się z czasów po reformie Kościoła przeprowadzonej przez Henryka VIII, nakazywał na prośbę goszczącego w Anglii katolickiego legata darowanie wolności kilku przebywającym w więzieniu katolickim kapłanom. Miano przy tym na względzie władcę, którego przedstawiający życzenie reprezentował, w tym wypadku Zygmunta III. Zapewne jedna i druga strona miała wówczas poczucie spełnienia dobrego uczynku. Ponieważ kilka tygodni wcześniej na życzenie posła francuskiego, marszałka Cadeneta, brata księcia de Luynes, wypuszczono wszystkich duchownych, oprócz tych, którzy dobrowolnie chcieli pozostać w celach, niosąc posługę innym skazańcom, Ossoliński, wykorzystując moment, kiedy na twarzy króla zagościła radość, poprosił o zwolnienie także wszystkich ludzi świeckich – „laików” obojga płci, wyznających katolicyzm. Jakub I zareagował na to, „z wielką zapalczywością i z zapalonymi oczyma”, nie chcąc słyszeć o uwalnianiu „zdrajców”, występujących przeciwko niemu jako głowie Kościoła, przez odmowę złożenia przysięgi wierności, mimo tego że jej formuła została nakreślona ręką arcybiskupa Anglii i przyjęta przez samych księży. Poseł łatwo nie ustępował i przytoczył swoje argumenty: tylko decyzja całego Kościoła (a więc papieża), a nie książka spisana przez jednego kleryka mogła rozwiązać sumienie katolików. W końcu Jakub I nachylił się do ucha Ossolińskiego i cicho złożył mu obietnicę zadośćuczynienia prośbie, ale dopiero po rozwiązaniu parlamentu, ponieważ gdyby to zrobił teraz, nie wiadomo, jak zareagowałoby stronnictwo purytan i czy nie doszłoby na tym tle do jakiegoś tumultu⁶¹.

W trakcie czwartej i ostatniej spisanej w pamiętniku audyencji, nie posiadając z kancelarii Wacława Leszczyńskiego nawet „listku barwianego”, poseł zasłaniał się kłamstwem (rzekomą chorobą stawów Zygmunta III) oraz tym, co mu naprawdę pozostało – ceremonialnymi i grzecznościowymi gestami – pozdrowieniami i komplementami w imieniu polskiego monarchy i podziękowaniami „za tak rzetelny afekt i miłość braterską”⁶².

Na traktowanie posła i w ogóle cały ceremonial miał wpływ szereg czynników. Po pierwsze, pełny ceremonial dyplomatyczny przysługiwał tylko posłom pierwszej rangi, czyli w warunkach polskich w zasadzie wielkim posłom króla i Rzeczypospolitej. Po drugie, ceremonial dyplomatyczny zależał nie tylko od rangi posła, ale w bardzo poważnym stopniu również

⁶¹ *Ibidem*, s. 135–138.

⁶² *Ibidem*, s. 141–142.

od aktualnie panujących stosunków między Rzeczpospolitą i państwem, do którego dyplomata nasz posłował. Po trzecie, jak przekonaliśmy się na przykładzie Działyńskiego, dużą rolę odgrywał przebieg samej misji⁶³.

Podczas całego pobytu w Anglii Ossoliński nie mógł narzekać na brak gościnności ze strony Jakuba I. W dniu audiencji publicznej monarcha zaofiarował mu pełną opiekę aż do samego wyjazdu. Przez dwadzieścia kilka tygodni Polacy delektowali się kuchnią angielską, korzystając z nakrywanego dla nich „z wielkim i pańskim dostatkiem” stołu królewskiego oraz mieli do własnej dyspozycji karoce stojące przed gospodą. Dodatkowym uprzejmym gestem było podanie do druku w języku łacińskim, angielskim, francuskim, hiszpańskim i niemieckim mowy poselskiej Ossolińskiego⁶⁴. Na koniec trzeba powiedzieć, że Anglicy starali się także uprzyjemnić długi, bądź co bądź, pobyt legata w swojej ojczyźnie zwiedzaniem „zamków i pałaców polnych” Jakuba, leżących pod Londynem⁶⁵.

Posłujący w 1633 r. do Szkocji i Anglii Jan Zawadzki po zarzuceniu kotwicy niedaleko Edynburga natychmiast wysłał do kanclerza szkockiego (najprawdopodobniej Johna Lauterdala) umyślnego z zawiadomieniem o przybyciu i zapytaniem o wyznaczenie audiencji. Wkrótce Szkoci przysłali po naszego dyplomata mistrza ceremonii, który w karetach zaprzężonych w sześć koni zawiózł go do przygotowanych w Edynburgu mieszkań. Wieczorem przybył od Karola I goniec z zaproszeniem na szkocką koronację w Edynburgu⁶⁶. Na drugi dzień po uroczystym wjeździe głowy państwa do stolicy Szkocji pojawił się u legata znowu mistrz ceremonii z wyznaczoną godziną publicznej audiencji. Około godziny drugiej po południu zajechało pod kwaterę Zawadzkiego osiem poszustnych karet dworskich z baronami i urzędnikami koronnymi, wśród których znajdował się hrabia Lauderdale z synem. Najpierw poseł wyszedł im naprzeciw aż do drzwi i wprowadził do pokojów, po czym po krótkiej rozmowie wsiadł z nimi do królewskiego powozu⁶⁷. Polak musiał przy tym uważać, by każdemu oddać to, co mu się według etykiety należało. Przykładowo przybywającego kardynała trzeba było witać na schodach, arcybiskupów i innych duchownych oraz świeckich ambasadorów w trzeciej lub w czwartej komnacie⁶⁸. W orszaku udającym się na audiencję również karety jechały w określonym porządku, np. we Francji wehikuły poselskie jechały za książętami krwi, którzy podążali za pustą karocą królewską⁶⁹.

⁶³ Z. Wójcik, *op. cit.*, s. 298.

⁶⁴ J. Ossoliński, *op. cit.*, s. 124.

⁶⁵ *Ibidem*, s. 139.

⁶⁶ *Zbiór pamiętników...*, t. III, s. 151.

⁶⁷ *Ibidem*, s. 153.

⁶⁸ A. Przyboś, R. Żelewski, *op. cit.*, s. 47.

⁶⁹ Z. Wójcik, *op. cit.*, s. 288 i 297.

Przed oblicze Karola Stuarta prowadzili posła dworzanie, po schodach, pomiędzy szeregami gwardii królewskiej. W jednej z komnat przywitano legata „zwyczajem krajowym” – białym chlebem i winem. Po ich skosztowaniu wprowadzono go do sali audiencjonalnej, gdzie król zasiadał na tronie, pod baldachimem, otoczony „przedniejszymi” panami Anglii i Szkocji. Gdy poseł zbliżał się do tronu, monarcha wstał i postąpił dwa kroki naprzód i stojąc z odkrytą głową wysłuchał mowy poselskiej. Następnie odebrał listy, przeczytał je i oddał po ich ucałowaniu kanclerzowi szkockiemu. Kanclerz ów odpowiadał od tronu, dziękując Władysławowi IV za dowody braterskiej przyjaźni, winszując zarazem szczęśliwego objęcia tronu. Nazajutrz przybył do naszego dyplomaty sekretarz stanu i kanclerz James Stuart Lennox i w imieniu swego pana rozpoczął rozmowy polityczne⁷⁰. Na zakończenie Lennox zaprosił Zawadzkiego na akt koronacji Karola na króla szkockiego, co ten przyjął z wdzięcznością⁷¹.

Jak widać, niewiele nowego pojawiło się w powyższej audiencji w porównaniu z audiencją Ossolińskiego. Nowym i niezwykle ciekawym elementem było witanie gościa z obcego państwa chlebem i winem, niezmiernie podobne do znanego nam dzisiaj polskiego obyczaju witania chlebem i solą.

Innym z elementów należących do ceremoniału były bankiety, uczty. Posłowie winni sami unikać urządzania bankietów ze względu na możliwość konfliktów między gośćmi na tle posłuszeństwa, co nie przeszkadzało oczywiście w uczestniczeniu w takich imprezach⁷². Mimo tego po uroczystym otwarciu parlamentu szkockiego Zawadzki wymówił się od wydawanego na cześć króla obiadu niedyspozycją zdrowotną, nie wykręcił się jednak od mniejszego bankietu, specjalnie dla niego przygotowanego. Na przyjęciu tym wyznaczono Polakowi czołowe miejsce pośród „pierwszych panów” i „rzędników królestwa”. W trakcie uroczystości zanudzał posła swoją rozmową niejaki pułkownik Hebron, służący kiedyś w wojskach Gustawa Adolfa i przeciw nam walczący. Nie obeszło się bez wznoszenia toastów, na klęczkach, kolejno za zdrowie Władysława IV, Karola I Stuarta oraz królowej Henrietty. Po obiedzie peregrynant nasz zdecydował się na aktywny wypoczynek i postanowił zwiedzić okolice miasta⁷³.

Za pośrednictwem mistrza ceremonii Zawadzki uzyskał obietnicę bezpiecznego przejazdu ze Szkocji do Anglii. Zaproponowano mu drogę lądową z uwagi na burzliwe nawałnice na morzu i korsarzy z Dunkierki. Anglik wyraził przy tym osobisty komplement Karola I pod adresem naszego posła – król dostrzegł w jego obliczu niesłychane podobieństwo do

⁷⁰ *Zbiór pamiętników...*, t. III, s. 153–154.

⁷¹ *Ibidem*, s. 156.

⁷² A. Przyboś, R. Żelewski, *op. cit.*, s. 47.

⁷³ *Zbiór pamiętników...*, t. III, s. 160.

swego ojca, Jakuba I⁷⁴. Czyżby ta osobista predylekcja w stosunku do Polaka odegrała jakąś rolę przy staraniach o zapewnienie bezpieczeństwa i wygody w czasie podróży? Skłaniamy się raczej do zrzucenia tego na karb panującego tu *savoir-vivre'u*.

Jeden z wcześniejszych autorów przepisów postępowania dla dyplomatów Ławryn Piaseczyński radził: „chce-li też co nam od kogo zacnego wiedzieć albo otrzymać, ma zrozumieć pierwaj przez statecznej powieści rozmowę, przez żarty, potom przez częstowanie podpoiwszy, więc przez dary, które błagają ludzi i bogów”⁷⁵. H. Wisner twierdzi, że posłowie jadący na Zachód, z wyjątkiem Ossolińskiego goszczącego na dworze papieża Urbana VIII w 1633 r., nie wieźli podarunków. Przekazywano je natomiast carowi, chanowi, sułtanowi, dostojnikom tureckim i tatarskim⁷⁶.

Jak się okazuje, zwyczaj wymiany prezentów zarówno w formie pieniężnej jak i rzeczowej był zupełnie dopuszczalny na dworze brytyjskim. Zawadzki przed wyjazdem ze Szkocji otrzymał na „pamiątkę” rzekomo 2 tys. funtów szterlingów, które przyjął z najwyższą wdzięcznością, jako jedynie świadectwo przyjaźni i uprzejmości brytyjskiej głowy państwa. Można powątpiewać w prawdziwość tego przekazu, była to bowiem prawdziwa fortuna – w przeliczeniu na walutę polską 200 tys. złotych – równa rocznemu dochodowi wcale zamożnego magnata dawnej Rzeczypospolitej. Dyplomata nasz nie mógł też wyrazić, jakich doznał „uprzejmości” nie tylko z rąk „ministrów i pierwszych panów”, ale także dworskich kawalerów, znamienitych kupców, którzy „tłumami” go odwiedzali, żegnając się i polecając siebie łasce Władysława IV. Naszym zdaniem w tych słowach także ujawniła się pewna skłonność Zawadzkiego do przesady i dlatego nie możemy im w pełni dać wiary. Polski dyplomata sam również obdarował poddanych Karola: podsekretarz królewski otrzymał pieniądze, aby „sprawy nasze w pilnem miał baczeniu”, mistrz ceremonii – łańcuch z diamentami, kuchmistrz, podczaszy wraz z innymi urzędnikami – drogie pierścienie lub pieniądze⁷⁷. Jak czytelnik się jeszcze przekona, do wręczania prezentów dochodziło także na zakończenie audyencji u rodziny królewskiej.

J. U. Niemcewicz zamieścił w opublikowanym zbiorze niezwykle cenną relację, pozwalając historykowi pokusić się na odtworzenie: wyglądu polskiego poselstwa, porządku, w jakim szło ono na audyencję do rodziny królewskiej, postrzegania Polaków przez cudzoziemców, w tym wypadku Anglików.

Przyglądając się poselstwu Zawadzkiego, można by wykrzyknąć za wybitnym historykiem obyczajowości J. S. Bystroniem: „co za rozmaitość strojów, jaki ich przepych, ile złota, barwy, jaka teatralność zewnętrznego

⁷⁴ *Ibidem*, s. 163.

⁷⁵ A. P r z y b o ś, R. Ż e l e w s k i, *op. cit.*, s. 43–44.

⁷⁶ H. W i s n e r, *Służba dyplomatyczna...*, t. II, s. 147–148.

⁷⁷ *Zbiór pamiątek...*, t. III, s. 164.

wystąpienia!”⁷⁸ Słowa te doskonale pasują do mody... męskiej, reprezentowanej przez członków naszej legacji, w której nie było, jak zresztą i w poprzednich, żadnej niewiasty. W przedmiocie mody staropolskiej nie było w rzeczywistości różnicy między mężczyzną a kobietą, ba!, odnosiło się nawet wrażenie, jakby próżność i zamiłowanie zbytku u mężczyzn były większe niż u kobiet, bo mężczyźni przybywał jeszcze jeden powód do zbytku, obcy kobiecie, a mianowicie broń, która z czasem zaczęła przybierać cechę czysto dekoracyjną⁷⁹.

Najpierw szli słudzy, jedni pięknie ubrani w czerwone, aksamitne żupany i atlasowe cieliste delie, z wachlarzami ze strusich piór, strojnymi zapinami lub w ich miejsce pierścieniami. Za nimi szło 15 następnych, ubranych po włosku⁸⁰. Trzeba przy tym powiedzieć, że właśnie polscy magnaci pierwsi odbywając podróże i legacje do stolic i dworów europejskich wracali ubrani po niemiecku, włosku czy hiszpańsku i to oni obok króla, studenta i żołnierza kreowali modę w Polsce⁸¹.

W ślad za sługami szli panowie Porębski i Wilczkowski z pozłaczanymi buławami w rękach, w ferezjach z rysiej i sobolej skóry, z wiszącymi pierścieniami oraz w czerwonych, aksamitnych żupanach. Za nimi siedł syn Zawadzkiego w złotogłowi, z srebrnogłową szablą, łańcuchem aż cztery razy okręconym, z wachlarzem z żurawich piór i wielką zapiną z diamentów. Za synem w centralnym miejscu w szeregu podążał wreszcie poseł Rzeczypospolitej – Zawadzki, w sobolej czamarze, z zapiną z rubinów i diamentów, łańcuchem, pomiędzy dwoma kawalerami królewskimi. Po bokach z obu stron szło po 10 lokajów królewskich ubranych w aksamitne sajany i czerwone zawoje, żółte pasamony, żółte atlasowe kabaty i w takimże kolorze pończochy oraz posrebrzane z puginałami szpady. Za posłem podążali słudzy, w półszkarłatnych, czerwonych deliach, podszytych żółtym atlasem, w zielonych atlasowych kurtkach ze złotymi guzikami, w nowych baczmagach, z „oprawnymi” węgierskimi szablami i czterema żurawimi piórami u czapek. Na końcu szło ośmiu hajduków, ubranych w czerwone lamowane żółtym atlasem jarmułki, każdy z trzema strusimi piórami w kolorze czerwonym, białym i błękitnym, w lazurowych deliach, żółtych butach i z „oprawnymi” pałaszami. Cała legacja liczyła 66 osób. Wchodzących gości witały odgłosy trąb. Cały dwór bacznie się Polakom przyglądał. Cechą pozytywną, wyróżniającą nasze poselstwo od zagranicznych, było wspaniałe prezentowanie się zarówno polskich dostojników, jak i całej służby. Cóż bo-

⁷⁸ J. S. Bystron, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. II, wyd. 4, Warszawa 1994, s. 418.

⁷⁹ W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, wyd. 12, Kraków 1958, s. 109–110.

⁸⁰ *Zbiór pamiątek...*, t. III, s. 182.

⁸¹ W. Łoziński, *op. cit.*, s. 106.

wiem z tego, że posłowie francuski i hiszpański przybywali ubrani z wielkim dostatkim, skoro było „motłochu za niemi bosego i oszerpanego moc”.

Teraz nastąpiła znana część ceremonii – król schodził z majestatu aż na ostatni stopień, witał się z posłem, słuchał mowy poselskiej z gołą głową, a po jej zakończeniu schodził z ostatniego stopnia i zbliżał się do legata, z którym teraz długo i, nadal bez czapki, przyjaźnie rozmawiał. Na koniec król oddał posłowi ukłon i razem z nim włożył nakrycie głowy. Królowa zaś zajęta była w tym czasie rozmową z synkiem Zawadzkiego, którego po całkiem gołej szyi głaskała, nie mogąc tylko pojąć, dlaczego Polacy nie nosili koszul⁸². Bezspornie była to najsłabsza strona polskiej garderoby, aczkolwiek nie stanowiliśmy w tym względzie niechlubnego w Europie wyjątku. Historia obyczajów mówi nam to samo o Niemczech, a nawet Francji. Henrietta zaś nie znała zapewne polskiego obyczaju, który w tym czasie (w latach 1636–1646) wymagał przy pełnym narodowym kostiumie zupełnie gołej szyi⁸³. Ta sama sprawa wprawiała w osłupienie dwór Ludwika Marii Gonzagi w czasie wizyty Polaków, mającej na celu doprowadzenie do jej małżeństwa z Władysławem IV⁸⁴. Rzeczą, która szokowała cały dwór angielski, było również to, że Sarmaci wygalali sobie głowy do gołej skóry. Kolejną, dużo mniej kontrowersyjną sprawą było dzierżenie przez dwóch wymienionych po nazwisku dostojników dwóch buław. Trzeba było Anglikom wytłumaczyć, że symbolizowały one władzę królewską z dwóch państw: Polski i Szwecji. Anglicy podziwiali też polskie konie, wyposażone we wspaniałe rzędy. Karol I otrzymał je w prezencie od króla polskiego, królowa zaś dostała dwa szerokie sobole, a i królewicz nie odszedł z pustymi rękami⁸⁵. Przed odpłynięciem z Amsterdamu przyniesiono z kolei dla posła „zwyczajne” dary od króla: trzy duże miednice z nalewkami, sześć dużych pucharów, cztery mniejsze, kadzielnice, czarki na sól i cukier. Ci, którzy je dostarczyli, zostali obdarowani przez Zawadzkiego 50 „jakobami” (2 tys. florenów)⁸⁶.

W taki oto sposób dobiegliśmy do końca naszych rozważań i zgłębiliśmy swoisty model zachowań występujący we wzajemnych polsko-angielskich relacjach dyplomatycznych. Jak widzimy, ceremoniał na dworze angielskim, podobnie jak w innych stolicach, do których przyjeżdżali nasi legaci, odgrywał niebagatelną rolę – był niezbędnym dopełnieniem gry dyplomatycznej i w gruncie rzeczy służył harmonijnemu współżyciu oraz zapewniał wygodę

⁸² *Zbiór pamiętników...*, t. III, s. 182–184.

⁸³ W. Ł o z i ń s k i, *op. cit.*, s. 134–135.

⁸⁴ Pani de Motteville twierdziła, że Polacy „nie używają chustek do nosa, nie znają koszul, nie śpią w pościeli, a tylko obwijają się w skóry niedźwiedzie i tak śpią”. W. Wię c k o w s k a - M i t z n e r, *op. cit.*, s. 174.

⁸⁵ *Zbiór pamiętników...*, t. III, s. 184.

⁸⁶ *Ibidem*, s. 170.

w działaniu, pod warunkiem oczywiście, że obie strony prawidłowo odbierały wysyłane do nich sygnały (gesty) i przestrzegały obowiązującej etykiety. Polscy dyplomaci świetnie radzili sobie na dworze angielskim i zgodnie z obowiązującym *bon ton* nie mieli żadnych trudności, barier w dostosowaniu się do miejscowych obyczajów (pomijając precedensowy przypadek Działyńskiego).

Piotr Maciejewski

THE DIPLOMATIC CEREMONY AT THE ENGLISH COURT IN THE NEGOTIATIONS WITH POLISH REPUBLIC IN THE 17TH CENTURY

The article is an attempt to depict the ceremony which existed within the courtly-diplomatic relationships between Poland and England in the times of Elisabeth I, James I and Charles I, and to show its role.

The paper is based on such sources as the accounts of legations to England by Paweł Działyński (1597), Jerzy Ossoliński (1621) and Jan Zawadzki (1633). Some inside information was taken from the accounts of private travel of Jakub Sobieski (1609).

The ceremony at the English court, similarly as in other capital cities visited by our diplomats, was not only essential for the international relationships and enabled contacts between countries in general, but it also ensured achieving the most important thing in politics – the compromise. Besides that, it served harmonious coexistence and secured comfort in any actions. There was on condition for that of course: both sides should properly receive the signals given (e.g. gestures, greetings, speeches, toasting, feasts, gifts and tokens, etc.). The only visible difference between the two sides would be the outside difference e.g. in clothing.

The above can be proved by the fact that Polish diplomats, equipped with instructions, letters from the country and the knowledge gained, could easily manage the relationships with the royalty and high range English diplomats. Polish diplomats didn't find it difficult to adjust to the local customs (with the exception of the unprecedented case of Działyński).